

Jadwiga Badowska

Dawid Alfaro Siqueiros

Nikt nie ma takich rąk, takich palców
jak Dawid Alfaro Siqueiros
niby liście agawy rozwartych
jak drzewo aloesu
(jako wąski jest prostokąt celi
w Mexico-City federalnym więzieniu)

mówi Siqueiros:

— nigdzie nie ma takich twarzy, oczu
jak nad wodami meksykańskiej zatoki

mury domów są gładkie i strome
piersi kobiet podobne w kąpiel

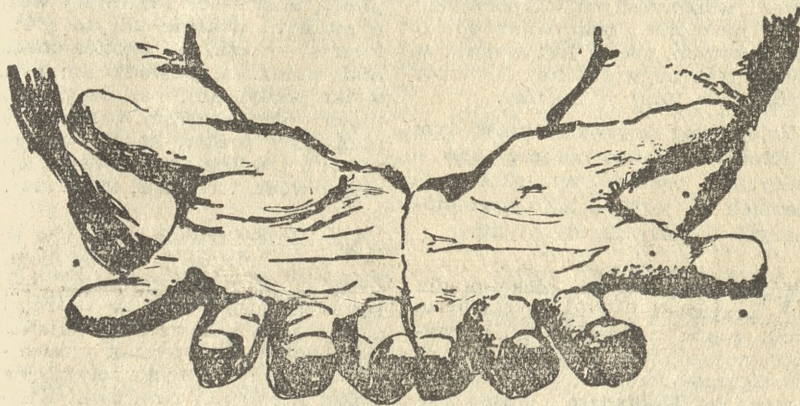
białe ściany zmieniłem w historię
cały kraj przeobrazić chcę Sztuką

pragnę uczyć tych z ulic i z placów
prosty ludzi rybaków żeglarzy
czytać dzieje z rysów własnych twarzy

mówią freski:

— O Dawidzie Alfaro malarzu
twoje ręce rozwarły agawy
uwięziono za wąskimi drzwiami
na lat osiem w federalnym więzieniu.

Lipiec 1962 r.



Ilustr. Ewa Pruska

W miasteczku mówiono o fabryce z dumą. Ktoś nawet powiedział, że to pierwsza w kraju, że nigdzie nie ma podobnej. W gruncie rzeczy mieli tylko tyle racji, że hale produkcyjne oryginalnie wymalowano: stropy na czarno, ściany w cynobrze i zieleni soczystej. Całość okraszono łamańcami z białych linii. Robotnicy nazywali to drwiąco — pikasem. Może jeszcze lat temu pare, obok ironicznych komentarzy, robiliby określony ruch palcem w okolicy czoła. Od jakiegoś czasu mówiono im jednak dużo o kulturze pracy, o tym, że w fabryce także powinno być czysto, ładnie i nowoczesnie. Chwalili przeto dziwaczne malunki. Do opinii publicznej nie docierał tymczasem fakt nieco innej natury. Tkaczki, pracujące w owym pomieszczeniu, dostawały po paru godzinach pracy zawrotu głowy; zarazem szef produkcji w żaden sposób nie mógł rozwiązać zagadki, dlaczego krzywa linia braków pnie się w górę.

Szef produkcji znał się na tkactwie, ale nie na malarstwie (czy na jego oddziaływaniu). Nie można go za to winić, choć właśnie tam należało szukać rozwiązania tajemnicy niepowodzeń. Nie można także winić dyrektora, że namówiony przez miejscowego „plastyka” — tak właśnie kazał pomalować swoje „gospodarstwo”.

☆ Ale są i poważne osiągnięcia. Z otoczenia wielu hal fabrycznych znikło błoto, przybyło sporo drzew, trawników i utwardzonych dróg wewnętrznych. Dawne kombinony zastąpiono odzieżą wygodniejszą, nowszego kroju. Poprawiła się wentylacja pomieszczeń produkcyjnych, usprawniono — przez mechanizację — wiele ciężkich, czy mechanicznych, czynności. Ba, nawet sporo zmieniło się w niektórych biurach i „kantorkach”.

Jednakowoż zbyt dużo jeszcze kontrastów. Do wspaniałych hal elektrycznych Konin, lśniących czystością, przyozdobionych palmami — trzeba brnąć przez błoto, godne najgorsze-

Zbigniew Mika

Kultura da się lubić

go gospodarstwa wiejskiego. W znanych zakładach poligraficznych w Poznaniu oczy drukarzy bawią barwy nie ściany, kwiaty w doniczkach i akwaria z rybkami, ale ubikacja nie ma równych sobie, w sensie negatywnym, niestety. W Zakładach Tworzyw Sztucznych w Kaliszu robotnice zatykały papierem otwory wentylacyjne, „bo wieje” — jak oświadczyły (widocznie wentylatory źle założono).

Wszczęta przed rokiem długofalowa kampania kultury pracy wniosła wiele dobrego, ale też i wiele zamieszania. Niektórzy zwrócili uwagę na do kultury miejsca pracy, inni sprowadzili rzecz na manowce domorosłej plastyki, ograniczyli do trawników przed fabryką czy nowych mebli w pokojach administracji.

☆ Rzec nie w tym, aby wyszczególnić przykłady dobre i złe, choćby dlatego, że trzeba tu wziąć pod uwagę poprawkę ukrytą w powiedzonku: nie od razu Kraków zbudowano. Nam chodzi jednak o to, by tego Krakowa nie zbudowano źle, aby nie zrobiono krzywdy samej kulturze. Gdzie przeto źródło naszych obaw?

Zacznijmy od tego, że spora część pracodawców (kierowników fabryk i instytucji) nie bardzo zdaje sobie sprawę na czym kultura pracy polega. Chodzi tu przecież nie tylko o pomalowanie na kolorowo ściany, bezpylne zamiatanie podłóg, lub czyste obrusy w stołówkach czy śniadalniach fabrycznych — ale także o doskonalszy warsztat pracy, o podnoszenie wiedzy technicznej, o kulturę osobistą, stosunki między pracownikami itp.; że jest to zagadnienie złożone, kompleksowe.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że omawiane czynniki mają istotny wpływ na wydajność pracy, wypadkowość i samopoczucie pra-

cowników. A przecież nie chodzi tylko o efekty ekonomiczne. Jednym z ważniejszych założeń szerzenia kultury pracy jest wychowanie człowieka, udoskonalanie go, co z kolei ma oddziaływać na formy jego życia poza fabryką.

☆ Są ludzie, którzy nie lubią matematyki. Najczęściej dlatego, iż jej nie znają. Dyrektor, który tkacką halę fabryczną pozwolił pomalować w pstre, jaskrawe barwy — nie nie wiedział o dodatnim lub ujemnym wpływie kolorów na psychikę człowieka. Skrytykowany — będzie miał na długo dosyć praktycznego kontaktu z „plastykami”. Zniechęca do określenia kultury pracy i trudno go będzie nakłonić do dalszego działania. Jeśli jednak będzie chciał coś zrobić, to nic z tego nie wyjdzie, bo żadnej publikacji na ten temat przeczytać nie może.

Skąd przeto ma dyrektor fabryki wiedzieć, jak wzorowo urządzić sekretariat, aby praca była sprawna i odpowiadała nowoczesnym wymogom? Jak zorganizować racjonalny wypoczynek, gimnastykę w przerwach pracy?

Nikt nie kieruje rozwojem kultury pracy od strony artystycznej (estetyka miejsca pracy), ale też nikt nie zajmuje się sprawami w aspekcie medycznym (skutki dobrych i złych warunków pracy) ani psychologicznym (dobra lub zła atmosfera). Dlatego nie włączy się tu szerzej Centralny Instytut Ochrony Pracy — placówka jak najbardziej do tego powołana?

Niesłusznie też chyba do słów kultury pracy doprecyzować określenia „akcja”, czy „kampania”, nawet jeśli dodawany bywa przymiotnik „długofalowa”. Trzeba temu nadać miano i charakter procesu ciągłego. Kulturę pracy trzeba koniecznie polubić.

Franciszek Hryniewicz

Trwałe zdobycze UAM

N a Uniwersytecie im. A. Mickiewicza nastąpił, zgodnie z tradycją, wybór nowych władz tej uczelni. Przez dwie kadencje, co się nie często zdarza, wysoki urząd rektorski sprawował prof. dr Alfons Klafkowski. Po nim te trudne, lecz i zaszczytne obowiązki obejmie od 1 września br. prof. dr Gerard Labuda, do niedawna dyrektor Instytutu Zachodniego.

Pisaliśmy o tych zmianach. Zdaje się, że jest czas spojrzeć retrospektywnie na minione lata i nieco zatrzymać się na najważniejszych etapach i osiągnięciach naszej uczelni. Obszerne dane mamy zawarte w Kronikach, które co roku drukuje poznański Uniwersytet. Kronika z ostatniego okresu ukaże się w roku przyszłym.

Czołowa pozycja w kraju

Nasz Uniwersytet należy do rzędu czołowych w kraju i w niektórych dziedzinach wyprzedza wszystkie inne. UAM jest pierwszą szkołą wyższą w Polsce, która przedstawiła Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego gruntowny i jednocześnie realny plan pracy. Pamiętamy jak to w Po-

znaniu w 1959 roku obradowała konferencja rektorów wyższych szkół w Polsce, zwołana dla zaznajomienia się z doświadczeniami poznańskiej uczelni w pracy dydaktycznej i wychowawczej.

Nasz Uniwersytet w ciągu ostatnich dwu kadencji rektorskich, pierwszy z tego typu uczelni w kraju, zbliżył się do społeczeństwa i jego potrzeb i oddał naukę praktyce życiowej, dzięki czemu szybko znalazł swoje miejsce w ogólnopolskim planie 7-letnim 1959—65. Celowi temu służyła zwołana z inicjatywy Uniwersytetu w 1958 roku konferencja przedstawicieli wyższych uczelni poznańskich z Prezydium RN m. Poznania. Choć konferencja ta odbywała się w przyszłości potrzeb dla miasta, problematyka podczas niej poruszona dotyczyła całej Wielkopolski. Pod tym kątem widzenia w listopadzie 1959 r. UAM opracował plan badań naukowych na okres najbliższych siedmiu lat. Plan ten jest obecnie realizowany. Już w czwartym roku wykonywania tego planu poszczególne wydziały UAM mogą poszczycić się poważnym sukcesem. Przykładowo wskażemy na najważniejsze.

W służbie Poznania i Wielkopolski

Wydziałowi Biologii i Nauk o Ziemi mamy do zawdzięczenia opracowanie podstaw rozwoju gospodarczego Wielkopolski w latach 1961—1975 w zakresie rolnictwa i przemysłu rolno-przetwórczego.

Geografowie opracowali problem zasobów wodnych wód gruntowych i głębinnych. Wiąże się to z niepokojącym zjawiskiem tak zwanego stepowania Wielkopolski. Zoologzy prowadzą ważne dla zabezpieczenia paszy prace nad paszowymi zwierzętami gospodarczymi i opracowują zagadnienie masowego pojawienia się gryzoni polnych i walki z nimi. Badania te, zainicjowane w Poznaniu, obecnie ogarnęły całą Polskę.

W Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii jedna z katedr chemii pracuje nad chemicznym wykorzystaniem węgla brunatnego, a więc nad zagadnieniem węglowym dla rozwoju Wielkopolski. Prowadzone są dalej prace związane z rozwojem rolnictwa Wielkopolski.

Wydział Prawa oddał Wielkopolsce i Poznańowi wszystkich swoich pracowników naukowych z katedr ekonomii. Gospodarka narodowa poszukuje specjalistów ekonomii kształconych na naszym Uniwersytecie. Wydział Filozoficzno-Historyczny opracowuje dzieje Wielkopolski od najdawniejszych czasów do chwili obecnej. Również historia miasta Poznania opracowywana jest przez zespół katedr historycznych. Prowadzi się pracę nad historią wsi wielkopolskiej. Na warsztacie znajduje się historia przemysłu wielkopolskiego, dzieje rzemiosła i handlu, szkolnictwo, oświata i kultura fizyczna. Katedra Etnografii ma na ukończeniu dzieło pt. „Kultura ludowa Wielkopolski”, przygotowuje „Atlas kultury ludowej Wielkopolski” i zamierza wznówić edycję dzieł Oskara Kolberg, dotyczącą naszego regionu.

Badaniem dialektologii Wielkopolski zajmuje się Wydział Filozoficzny, a zagadnienia teatru, czasopiśmiennictwa i dziennikarstwa są na warsztacie katedry historii lite-

ratury. Katedra Botaniki opracowuje dokumentację dla racjonalnego zagospodarowania lasów i wód.

Jest to tylko ułamek podanie niektórych prac spośród 80 katedr i zakładów naukowych, nie licząc pracowników, które w gruncie rzeczy są już pełnymi zakładami naukowymi. Trzeba pamiętać, że niemal wszystkie podstawowe nauki przyrodnicze i humanistyczne są skupione na UAM. Na tak szerokich podstawach współpracuje nasz Uniwersytet z administracją województwa i Poznania dla potrzeb miasta i wsi. Z całości osiągnięć naszej uczelni wymieniliśmy tylko część tego, co służy bezpośrednio użytkownikowi Wielkopolski i tylko to, co zamyka się w dwóch kadencjach rektorskich prof. dr. A. Klafkowskiego.

Przewycięzenie krytycznego okresu

Podstawą działalności Uniwersytetu i jego ekspansji na zewnątrz są dobrze zorganizowane katedry profesorów, docentów i pomocniczych pracowników nauki. Przed paru laty był moment, gdy w stan spoczynku przeszło 22 samodzielnych pracowników nauki, a wśród nich sławy naukowe w kraju i za granicą. Trzeba było te luki uzupełnić. Powstała obawa, że załamanie się biegu działalności UAM. Zjechała nawet do Poznania wiceminister Szkolnictwa Wyższego, Eugenia Krassowska, by dopomóc Poznaniowi. Pomoc okazała się niepotrzebna. Pracownicy nauki wraz ze swym rektorem, prof. Klafkowskim, pomyślnie rozwiązywali zawiłą sytuację. Dziś katedry są obsadzone. Młode, lecz ambitne kadry naukowe stanęły z zapałem do pracy i poziom UAM nie tylko został wyrównany, lecz kontynuuje owocnie prace swych wielkich poprzedników. Obecnie mamy 18 katedr i 7 zaocznych, a liczba studentów łączna z zaocznymi wynosi ponad 6,5 tysiąca.

Rozrastającemu się Uniwersytetowi za mało dał Poznań gmachów. UAM rozsadał swoje mury. Szczęśliwie uzyskany został gmach przy Moście Uniwersyteckim, a Collegium Phisicum jest w budowie. Wróciła do UAM drukarnia uniwersytecka, lecz to wszystko za mało.

W trosce o młodzież i ziemię odzyskaną

Pokażne zdobycze ma UAM w trosce o młodzież. Jest to odciinek, który wymagałby szerszego omówienia, bo nasza uczelnia swą pracą dydaktyczną ogarnia nie tylko Wielkopolskę, lecz również województwa północno-zachodnie. Uniwersytet Poznański był pierwszą wyższą szkołą w naszym mieście, która natychmiast po zakończeniu działań wojennych oddała dużą część swych kadr naukowych ziemiom odzyskanym. Uczelnia otoczyła serdeczną opieką studentów tych ziem i obecnie liczne ośrodki konsultacyjne zorganizowane w województwach północno-zachodnich pogłębiają współpracę UAM z tymi ziemiami.

Dwukrotna kadencja rektorska prof. dr. Alfonsa Klafkowskiego wejdzie do historii UAM jako okres trudny, ale wielostronny i bogaty w trwałe zdobycze kużytkowi naszego regionu i kraju.

Zaczarowana dorożka



Z fotołeki
Józefa
Myszkowskiego

Marian Jaśkowski

Korzenie zmian

Wyraźny wzrost nastrojów antyniemieckich w Stanach Zjednoczonych datuje się od roku 1960, kiedy to w Niemczech zachodnich wystąpiła fala ekscesów neohitlerowskich. Enigmatyczna postawa społeczeństwa zachodnoniemieckiego, szczególnie zaś słaba reakcja władz NRF — na wzrost awantur antyżydowskich, odbiły się szerokim echem w społeczeństwie amerykańskim.

Elementy propagandowe

Prasa amerykańska śledząca na ogół z dużym zainteresowaniem rozwój stosunków w NRF, zaczęła publikować doniesienia świadczące o tendencjach renowacyjnych. Na łamach pojawiły się nazwiska Oberlaendera, Globkego. Trwał wreszcie proces Eichmanna. Wiadomości o infiltracji b. hitlerowców do władz bońskiej administracji z krajami włączanie, do sądownictwa, szkolnictwa, policji itp. znalazły się znowu w orbicie powszechnych zainteresowań.

W tym stanie rzeczy kinoteatry sięgnęły na powrót do arsenału taśm

nakręconych w okresie ostatniej wojny, ukazujących Niemcy hitlerowskie z ich prawdziwym obliczem. Telewizja amerykańska (nadająca prawie całonocne programy) zaczęła przepłacać filmy antynazistowskie z westernami; zaś studia telewizyjne nadawać widowiska nawiązujące do historii brunatnego reżimu, prowadzić dyskusje na te tematy i komentować wydarzenia w

Nastroje antyniemieckie w USA

NRF. Poza tym na rynku wydawniczym namnożyło się przeróżnych wydawnictw kieszonkowych, których bohaterami byli np. komendanci obozów koncentracyjnych; ich czyny dokonywane wspólnie z „blondbestiami” rodzaju żeńskiego — podniecając lasę na drastyczne sceny i akcje masy czytelnice. Powie ktoś, że wiele w tym businessu i wygrywania koniunktury psychologicznej. Lecz w końcu i względy czytelnicze brane są pod uwagę i widocznie nastroje antynazistowskie są wystarczająco do tej pory żywe, jeżeli wydawcy wychodzą z tego rodzaju książkami na rynek.

Przed wszystkim książki...

Specjalne miejsce należy się dużej liczbie książek ujmujących sprawę NRF w sposób poważniej-

szy, które pojawiły się w ciągu ostatnich dwóch lat. Tu przede wszystkim wymienić należy głośną już, drukowaną w fragmentach „Przekroju”, książkę Williama Shirera pt. „Rise and Fall of the Third Reich” („Wzrost i upadek Trzeciej Rzeszy”). Znajduje się ona od półtora roku na liście bestsellerów amerykańskich. Ten ponad tysiąc stron liczący tom, przetłumaczony m. in. na język niemiecki, wywołał żywą reakcję w USA i oczywiście w NRF. Książka wysunęła znowu na wokandy publiczną dawną na pozór zapomnianą sprawę. Zie przyjęcie, jakiego doznała książka Shirera w NRF, poruszyło opinię amerykańską, wywołując wiele komentarzy na łamach prasy w USA.

Drugą książką jest tytuł „Nowe Niemcy i dawni naziści” p. T. H. Tenssa, który obnażył swym faktograficznym i suchym materiałem stosunki w NRF. Autor posługując się autentycznym materiałem źródłowym czerpanym z prasy zachodnoniemieckiej, odmalował kompleksowy obraz aktualnie dokonującego się procesu renowacyjnego Niemiec zachodnich.

W Niemczech zachodnich, co bardziej krytyczne i wnikliwe elementy zdają sobie sprawę ze wzrostu nastrojów antyniemieckich w USA. Zjawisko to sygnalizują stale korespondenci zachodnoniemieccy przebywający w USA. Aktualny stan politycznych stosunków niemiecko-amerykańskich rzutuje wyraźnie na nastroje społeczeństwa amerykańskiego, również wspomnienia przeszłości wywierają na niego wpływ na kształtowanie się tych stosunków w przyszłości, zwłaszcza że uszytwniona polityka Adenauera (i jak należy przypuszczać także jego następców) w zasadniczych sprawach środkowej Europy, stanowić będą zawsze potencjalne zarzewie konfliktu wojennego, który nie będzie popularny w USA.

Oczywiście, w Niemczech zachodnich odzywają się głosy, że społeczeństwo amerykańskie znajduje się pod presją propagandy komunistycznej, wskazującej na NRF jako ognisko niepokojów w Europie. Ci sami krytycy USA podkreślają dominujący wpływ osobowości „liberalizujących” w nowej administracji Kennedy’ego. W tym ostatnim twierdzeniu jest może i cząstka prawdy, lecz wywodzi się ona z innych przesłanek, niż dostrzeganych przez obserwatorów zachodnoniemieckich. Niemcy zachodnie nie są w założeniach USA „pępkiem” świata; patrzy się na Niemcy, jako na część Europy w przyszłości zintegrowanej, która stanowić będzie jedną całość i w tym kontekście będzie dopiero właściwym kontrahentem, czy jak kto woli, partnerem Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem Niemcy zachodnie odbudowane i wyposażone przez Stany Zjednoczone w niemałe atrybuty suwerenności politycznej i gospodarczej, nie ukrywają już dzisiaj swej zdecydowanej a niejednokrotnie źle ukrywanej groźby. Także tandem Adenauer — de Gaulle przybiera ostatnio formy swoistego szantażu w rozgrywkach Bonn — Waszyngton. Nie przypadkowo w publicystyce zachodnoniemieckiej, komentującej problem nastrojów antyniemieckich w USA, spotyka się głosy, które mówią o „bumerangu mogącym się odwrócić i spowodować wzrost sił nacjonalistycznych” w NRF.

Wśród pięknych osiągnięć polskiego ruchu wydawniczego sporo miejsca zajmują reedycje rzeczy dawno wyczerpanych, wzgl. pierwsze tłumaczenia monumentalnych pomników obcych. Nie silę się wymienić tytuły. Stanowią las, bór, trzeba być naprawdę sprawnym leśnikiem, aby bez błędów odczytywać w tym gąszczu znaki przewodnie.

Nim dotknę samej rzeczy odpowiednio, oczywiście, ograniczonej, chciałbym zwrócić uwagę na pewne niedostatki.

Stale brak nam np. Stanisława Brzozowskiego. Jego „Legenda Młodej Polski”, to dzieło podstawowe dla poznania polskiej moderny i związku polskiej kultury owego okresu z europejską filozofią i sztuką, opublikowane w oficynie Wydawnictwa Instytutu Literackiego w Warszawie w roku 1937. Brak nam także „Kultury i życia”, zbioru szkiców tegoż autora, powstałych przed „Legendą”, oświetlających filozoficzne, społeczne i estetyczne poglądy autora. Brak też głośnie rozprawy o Stanisławie Wyspiańskim, brak tym dotkliwszy, iż sam twórca „Wesela” przeżywa obecnie osobliwy renesans, dokumentowany drukiem dzieł zbiorowych przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, a spektakle o perypetiach w bronowskiej chacie prawie zawsze wywołują dyskusję o młodopolskim teatrze, o jego aktualności, o sposobie interpretowania dramatów z przeszłości.

Inny przykład: brak też, jakże dotkliwy, pełnego wydania pism Kamila Cypriana Norwida. Nikt dotąd w Polsce nie pomyślał, iż ten wybitny polski twórca, nierozumiany przez współczesnych, zapomniany przez następców, odkrywany od lat trzydziestych, godny jest wejścia w obieg myśli obywatelskiej. Niedobór wydaje się tutaj szczególnie.

Tyle uwag krytycznych. W tym felietonie chciałem zabrać głos o reedycjach bądź pierwszych tłumaczeniach na język polski pism mówiących o klasycznym antyku.

Wymieniam pozycje niektóre, dla przykładu jak żywo tkwią w wielu z nas zainteresowania, mówiące najogólniej, kulturą obszaru Śródziemnomorza. A więc z dawniej wydanych: Tikidydesa „Wojna Peloponeska”, Apiana, Tacyty „Dzieła” w dwóch tomach, dalej — Georga Thomsona „Ajchylis i Ateny”, tłumaczenie z angielskiego, typ pracy rzadki u nas, bada ogólnokulturowe związki teatru ateńskiego z przejawami życia obyczajowego. Wznowiono też klasyczny dziś, trójtomową rozprawę, raczej dzieło, Tadeusza Zielińskiego „Starożytność bajeczna”, „Grecja niepodległa”, „Rzeczpospolita Rzymska”. Pokolenie ieciowych miłośników starożytności zna te pozycje nie tylko z tytułu. Kto kończył przed wojną gimnazjum klasyczne starego typu, jest cze sprzed reformy Jędrzejewiczów, ten sięgać musiał do Zielińskiego, a też do Sinka i do Kazimierza Morawskiego, do mitologii greckiej i rzymskiej z niemieckich najczęściej tłumaczeń (Jan Parandowski swej pięknej książki wtedy jeszcze nie był napisał). Jednak Tadeusz Zieliński wywarł wpływ najbardziej wszechstronny na zastępy polskich inteligentów, większy, jak mówi autor polskiej „Mitologii” we wstępie do „Starożytności bajecznej”, niż

Przemysław Bystrzycki

ANTYK I DWAJ POLSCY PISARZE

się zwykło uważać. Te tomy, wznowione w latach 1957—1958, składają hołd pisarzowi, są rzetelnym przypomnieniem i cenną pomocą wydawcy dla znajomości u polskiego odbiorcy śródziemnomorskiej kultury.

Niektóre pozycje nowsze świadczą o renesansie zainteresowań wiekiem upadku republiki rzymskiej i narodzin cesarstwa. Kazimierza Kumanieckiego monumentalna praca o Cycebronie i jego czasach, dalej — Cycebron „Mowy wybrane” wydał „Czytelnik”, a „Pisma filozoficzne” w dwóch tomach Biblioteka Kłasyków Filozofii. Również ukazały się listy autora „katylinarek”. Dalej Edwarda Gibbona „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego”. Są też i polskie prace dotyczące tego okresu. Aleksandra Krawczuka „Cesar”; przystępna biografia informacyjna, i głośny, obrecenzowany i dyskutowany w prasie „Boski Juliusz” Jacka Bocheńskiego. Ten „Boski Juliusz” jest godną uwagi próbą spojrzenia współczesnego człowieka na ewolucję władzy w latach pięćdziesiątych p.n.e., głównie zaś na genezę antycznej boskości, sposobów dojścia do własnego posagu na Kapitolu, oraz — co nie mniej ważne, a może tu właśnie ukryto główny interes autorski — analizą mechaniki władztwa, powodzenia, metod walki politycznej; parada po stopniach obywatelskiej kariery; kapłan, edyl, pretor, konsul, zarządca prowincji w Hiszpanii Dalszej, zwycięski wódz, triumwir, imperator.

Na koniec: trwale zdobny w wieńiec laurowy i równy bogom. Związki ze współczesnością widzę wyraźnie, ponieważ i w naszej historii co lat kilkadziesiąt pojawiają się bogowie. Jest jednak prawdą, iż — ogólnie — ruchu renowacyjnego wokół literackiej rozprawki Bocheńskiego materiał zawarty w książce nie całkiem usprawiedliwia. Jeśli wojny Cesarza w Galii i Belgii stwarzają przychylny margines dla wyrażania przez autora własnych, skierowanych ku współczesności przemysłów, to dzieje późniejsze, aż do śmierci Gajusza Juliusza, zreferowano z położeniem nacisku na historyczno-pamiętnikarską czyli obiektywizującą relację. W rozdziałach o tych cytowanym Swetoniuszu, Plutarchu z Cheronie czy Apianu z Aleksandrii, a wolałbym naszego pisarza z Warszawy.

Tak czy inaczej miłośnicy greckich i łacińskich starożytności muszą uchylić czoła. Dlatego, myślę, mam prawo przypomnieć o sprawach przecież niemniej nam bliskich: K. C. Norwid i St. Brzozowski. Polscy autorzy czekają od siedemnastu lat na wydawców. Jest łacińskie przysłowie: „Bis dat qui cito dat”. A zatem...

Maciej M. Kozłowski

Pilska wystawa prac Andrzeja Matuszewskiego

Pierwszy sezon swej działalności Galeria „Ziemi Nadnoteckiej” w Pile kończy ekspozycją, szóstą z kolei, prac malarzkich i rysunków Andrzeja Matuszewskiego. Trudno nie wspomnieć tutaj o roli jaką odegrał Andrzej Matuszewski jako jeden z założycieli i czołowych przedstawicieli poznańskiej Grupy R-55, która w swoim czasie poważnie zapisała się w aktywizowaniu życia artystycznego Poznania, nie tylko przez swoją znaczną ruchliwość, lecz przede wszystkim przez nowe propozycje artystyczne przeciwstawiające się pokutującemu wówczas w miejscowej plastyce zastępkom w poszukiwaniach postimpresjonizmu i kapizmu. Nie będzie przesadą w tym, jeżeli stwierdzić, że właśnie dzięki Grupie R-55 zwrócono uwagę na poznańską plastykę. Niestety, kryzys wszelkich grup artystycznych jest nieunikniony: mniej więcej w tym samym czasie, gdy rozpadała się grupa poetycka „Wierzbak” przestała istnieć także Grupa R-55 (obie grupy były powiązane ze sobą przez współdziałanie).

Rozpad Grupy R-55 nie miał wpływu na artystyczne poszukiwania Andrzeja Matuszewskiego, który był już wówczas indywidualnością mocno zarysowaną. Pilska wystawa, grupująca dzieła powstałe w ostatnich dwóch latach prezentuje artystę dojrzałego, podporządkowującego swoją twórczość większej niż dotychczas to było kontroli rozumu. Matuszewski wyprowadził swoją twórczość z poetyki nadrealizmu. O ile we wcześniejszym okresie twórczości powinowactwa te są wyraźnie zaznaczone (formy przywodzące na myśl marzenia sennie, duszny klimat zamknięcia, w miarę „dowolne” kojarzenia barw) — o tyle dziś artysta wyzwolił się niemal całkowicie z tego wszystkiego, co pozwalało szukać w obrazach treści literackich, co sprawiało wrażenie, że jego obrazy to opowiedziane przy pomocy pędzla przeżycia człowieka z książek F. Kafki.

Prace „pilskie” w większości rezygnują z literackiej anegdoty, chcą przemawiać do odbiorcy tylko i wyłącznie środkami malarzkimi. Środki te z kolei podporządkowane zostały dyscyplinowanemu myśleniu. Goya powiedział: „nie lubię, gdy mój pędzel myśli za mnie” i powiedział o przystając także do twórczości Matuszewskiego.

Andrzej Matuszewski nie rezygnuje z tematu w swoim malarstwie. Chce

ukazać wewnętrzne, skłębione, pełne niepokoju przeżycia człowieka. Chciałbym być zrozumiany: obrazy jego nie są notatkami z przeżyć i stanów wewnętrznych, nie są także jakkolwiek refleksją, to nie opowieść o nastrojach i uczuciach — raczej ambitna próba portretowania owych przeżyć, pokazania ich w stanie czystym. Odrzuca Matuszewski wzruszenia, zastępując je konstrukcjami myślowymi, w malarstwie kształcie wywołanymi z jednolitej magmy tła; charakterystyczne odwrócenie sytuacji; dla Matuszewskiego ów spokój tła jest chaosem, a wywołany z niego i uporządkowany niepokój przeżyć — ładem.

Osobne miejsce zajmują na wystawie w Galerii „Ziemi Nadnoteckiej” czarno-białe rysunki. Nie brak w nich groteski i dygresji lirycznych, których pozbawione jest całkowicie malarstwo. Fakturalnie potraktowane płaszczyzny w kształtach geometrycznych uwikłane w linearne plamy — dają ciekawe rezultaty. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że więcej tutaj zabawy formalnej przeprowadzonej według prawideł sztuki niż ładunku emocjonalnego.

Bogusław Kogut

Humor pilnie poszukiwany

Podróż kształcą. Lektura też. Zresztą lekturę można przyrównywać do podróży pod wieloma względami, podobnie jak podróż, lektura może być nudna lub atrakcyjna, denerwująca i męcząca lub wesoła i uroczą. Najgorsza jednak bywa lektura obowiązkowa. Rzadko, bardzo rzadko trafiają się w niej smakowite rodzynki — tak samo jak w podróży, na delegacji służbowe rzadko zdarzają się miłe przygody.

Przeciętny człowiek poświęca się lekturze wtedy, kiedy ma na to ochotę, a lektura warta jest

wysiłku i czasu, jaki człowiekowi zabiera. Ale są zawody, w których czytać musi się zawsze, ciągle, przed urlopem, w czasie urlopu, po urlopie. Nie inaczej jest w mojej profesji: trzeba jak najczęściej czytać, żeby jak najmniej powtarzać i powielać. Nigdy, rzecz jasna, nie starczy czasu na przeczytanie wszystkiego, zwłaszcza że lektura współczesnej i nowoczesnej beletryстики jest zajęciem bardzo odległym od pojęcia rozrywki, jest ona natomiast zajęciem ponurym i smutnym, niszczącym uśmiech na naszych twarzach i psującym pogodę w naszych myślach. Spróbujcie na przykład przyswoić sobie najważniejsze skarby tak zwanej nowej powieści francuskiej. Jeśli nie macie benedyktyńskiej cierpliwości, francuskiej pokory i oślego uporu — możecie nie dać rady. Ja osobiście utknąłem definitywnie na Butorze. Zaczynałem dziesiątki razy — i ani razu nie udało mi się przebrnąć przez trzy dziesiąt stronice. Przez pewien

czas nie przyznawałem się do tego (w każdym z nas jest kawałek snoba, licząc, że może jednak w końcu przeczytam. Ale teraz już wiem, że nie przeczytam — i przyznaję się do tego bez zgrzywu, bez udawania greka).

Tego aktu szczerości postanowiłem dokonać, oczywiście pod wpływem lektury. Nie Butora — ale Janusza Przybysza, ściślej: jego książki pt. „PRZYGODY DZENTELMENOW” wydanej przez WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE.

Nie będę odbierał chleba recenzentowi „GŁOSU”, ale niech mi będzie wolno podzielić się z czytelnikami resztką uśmiechu, jaki ocaliłem dzięki tej lekturze.

Nikt mi nie podpowiadał, nie reklamował tej książeczki — otrzymałem ją w ramach lektury obowiązkowej. Pożegnawszy uroki lipcowego świata, uzbiorwszy się w zawodową „audiodopornosc”, zacząłem czytać. No i rozczaro-

wałem się srodze. Zamiast zgłębiać na ponure tajniki egzystencji i zagadki ludzkiej duszy, musiałem się uśmiechać a niekiedy śmiać się całą gębą od ucha do ucha. Miałem ubaw, rozrywkę, relaks. I to — pomyślcie — przy lekturze współczesnej książki współczesnego polskiego autora.

Już słyszę zarzuty, że zapewne nie czytałem Zielińskiego i Mrożka, skoro we współczesnej literaturze widzę tylko poważniactwo. Otóż — czytałem Zielińskiego i Mrożka. Ale ich dowcip jest dla mnie bodaj równie ponury i przyniatający jak owa śmiertelna nuda u Butora, tyle, iż może nieco łatwiej przyswajalny. Jest to w każdym razie humor à rebours, przedrzeźniający, nie zdolny zabawić i rozweselać. Jesteśmy narodem okrutnych poważniaków, masowych filozofów, nawet w satyrze humor zastępujemy pretensjonalną moralistyką. Więc Janusz Przybysz (a może tylko

Jerzy Korczak

Ilustr. Ewa Pruska

pogrzeb z gramofonem

Zaczął się to całkiem glupio i wypadło wcale nie tak, jak sobie od dawna planowałem. Wiedziałem, że musi to nastąpić wcześniej czy później i nawet w głębi duszy chciałem, żeby ta chwila nadeszła jak najszybciej. Nic przecież gorszego i bardziej jałowego jak oczekiwanie na coś, co i tak musi nastąpić. A że już od dość dawna położyłem krzyż na swojej artystycznej karierze — nie przeżywałem więcej całej tej niepewnej sytuacji, nie brałem się w zawiedzionych nadziejach, nie czułem nawet prawie żądę w sercu, gdy na tablicy ogłoszeń w teatrze nazwisko moje widniało wśród zwykłych chórzystów. Krótko mówiąc — czekałem tylko, aż...

...postawi na tym wszystkim kropkę nad i, jako że sam nigdy nie umiałem wychodzić losowi naprzeciw i podejmować decyzji pierwszy. Któregoś deszczowego dnia stało się wreszcie to, co się stać musiało. Było to nazajutrz po Zofii i z ciężkim kacem budziłem się właśnie z pijackiego półsnu, gdy odezwało się stukanie do drzwi. Nie chciało mi się wstać i otworzyć, więc tylko mruknąłem coś pod nosem, czego ten ktoś za drzwiami widocznie nie dosłyszał, bo po chwili zobaczyłem na podłodze białą kopertę. Leżałem jeszcze pięć minut albo i więcej drocząc się sam ze sobą; od dawna już nie dostawałem żadnych listów i dobrze było sobie przez moment pomarzyć o różnych miłych rzeczach. A więc na przykład, że jest to zawiadomienie o spadku po wuju Al-bercie, który od wojny mieszkał w Panamie, albo list z Rady Państwa, że za wybitne zasługi w walce z okupantem przyznana mi została dożywotnia renta w wysokości dwóch tysiączków z równoczesnym zekazem obejmowania jakiegokolwiek pracy; lub coś w tym guście. Treść pisma była jednak całkiem inna i zgola nie tak wyszukana. Po prostu dyrektor prosił mnie na rozmowę, która ma się odbyć w jego gabinecie o dwunastą. Ziewnąłem bezmyślnie i przeciągając się spojrzałem na zegarek. Pozostawała mi niepełna godzina, a jako, że należało do ludzi punktualnych i ceniących uznane autorytety, do których zaliczał się nasz dyrektor, nie chciałem się spóźnić ani o chwilę, choć domyślałem się, a nawet byłem pewien, jaki ma być cel owej rozmowy. Jeszcze wtedy ani by mi w głowie nie powstało, że może dojść do tego, do czego doszło kilkadziesiąt minut później. Wyszedłem na ulicę dokładnie wymyty i wygolony i właściwie — trochę wbrew logice — dość nawet przychylnie nastawiony do ludzi i świata. Gdy dochodziłem do skrzyżowania zobaczyłem na dużym zegarze, że do oznaczonej godziny brakuje jeszcze dwadzieścia minut. Chwilę wahalem się co robić z wolnym czasem; kolubryniasty budynek teatru sterzał już za rogiem. Wszedłem do baru „Stokrolka” z zamiarem wypicia małego klina, choć w zasadzie nigdy tego nie stosowałem. Jeśli już zdarzyła mi się poprzedniego dnia popijawa, to kaca leczyłem wyłącznie proszkami od bólu głowy. Wtedy jednak skusiło mnie licho i planowany klin zamienił się w dwie setki wzmocnione dużym piwem.

— Czy wie pan, dlaczego pana prosiłem? — rozpoczął dyrektor grzebiąc z rozlgnięciem w stercie papierów rozłożonych na biurku. — Proszę sia-

dać! Przejechał po mnie wzrokiem jakby nie widząc, że jestem, cały pograżony w tych papierzyskach. Sledziłem spod oka nerwowe ruchy jego rąk i drobną, schludną sylwetkę: siwiejące, gładko zaczesane włosy, białutka koszula z muszką oraz czarny garnitur; zawsze wyglądał jakby dopiero co wyszedł od krawca. Wciąż w milczeniu i z nieoczekiwanym dla samego siebie zainteresowaniem zacząłem się wpaływać w te nieskładne sterły papieru, które z szelestem zmieniały bez przerwy miejsce na biurku. W pewnym momencie dyrektor nacisnął guziczek aparatury, coś chrupnęło i zaraz potem ze sceny odezwał się przez głośnik potężny baryton.

— Niech pan tylko posłucha. To próbuje Morelak, nasz nowy solista. Co za głos, jaka barwa! Dyrektor wsłuchał się w arie z „Pajaców” nucąc równocześnie cichutko i poruszając rytmicznie głową. I ja przez chwilę z przyjemnością słuchałem śpiewu Morelaka. I pewno nie okazałbym ani jednym gestem swego zniecierpliwienia, jako że dyrektor zawsze ogromnie mnie onieśmielał, gdyby nie nieoczekiwana fala młodości, która poddeszała mi do gardła. Zrobiło mi się gorąco, wódka zaszmumiła w głowie — zapragnąłem za wszelką cenę wyjść jak najszybciej na dwór. Zerwałem się z miejsca i nie prosząc o pozwolenie szeroko otworzyłem okno. Struga chłodnego powietrza wtargnęła do gabinetu, papierzyska na biurku gwałtownie zawirowały i zakryły białe gorsy dyrektorskiej koszuli. Wywrócił się także wazon pełen purpurowych róż i woda ciurkiem zaczęła spływać na dywan. „Co pan zrobił?” — krzyknął dyrektor oganiając się przed nową falą uderzających w niego papierzysk. — „Proszę zamknąć okno!” Ale we mnie wśliznął diabeł. Nigdy nie znałem siebie z tej strony. Jestem człowiekiem łagodnym i z zasady nie podnoszę głosu. Teraz jednak przed oczami zamigotały mi czerwone płatki, a z głębi brzucha wyrwał się jakby cudzy, chrapliwy głos „To wszystko przez pana. Dawaj pan ten papierzek ze zwolnieniem. Na co pan jeszcze czeka, do jasnej cholery!” Nie widziałem jego twarzy, bo wciąż walczył z tymi wirującymi, gęsto zadrukowanymi bibułkami, ale gdy wreszcie wiatr trochę się uspokoił i zobaczyłem jego facjatę purpurową ze złości zapragnąłem nagle w jednej sekundzie zadośćuczynienia za wszystkie zawody, których doznałem w życiu. Właśnie Morelak kończył tę swoją arie w „Pajacach”, a jego głos dudnił w ciastym pomieszczeniu jakby z dna beczki, gdy chwyciłem gliniany wazon w żółte kwadraki. Tkwiła w nim jeszcze ledwo rozkwitła róża, paczek prawie, niekojańsiej niż od innych kwiatów, które leżały teraz u moich nóg na dywanie. Uderzenie było niezbyt celne, bo dyrektor odruchowo schylił głowę i tylko kawałki rozbitej o ścianę gliny uderzyły go w kark. Wyskoczyłem z gabinetu co sił w nogach.

Dopiero po kilku dniach Józio Klepacz, mój bliski kolega powiedział mi z ironicznym uśmiechem, że zostałem wezwany po to, by dostać podwyżkę i przygotować się do dublowania Morelaka w „Pajacach”.

— Śmierć frajerom! — stwierdził Józio po raz któryś z rzędu i nachylił swą tyjącą głowę nad szpaltami „Kuriera”. — Śmierć frajerom. Trza się do tego zabrać i to jak najszybciej. Jeśli będziemy długo medytować, znajdą się inni, mądrzejsi, którzy na to wpadną. Policzyć tylko: raz, dwa, trzy, pięć, siedem nekrologów! A w sobotę to niżej tuzina nie schodzą prawie nigdy. Interes jak ta lala. Decydujesz się? — Wzruszyłem obojętnie ramionami, ale w głębi duszy podjąłem już decyzję. Pomysł Józia wydawał mi się istotnie jak najbardziej doręczny i udejęc wahanie, chciałem tylko trochę się podrożyć. Niech sobie nie wyobraża, że to on będzie grał pierwsze skrzypce w tej całej imprezie! Bądź co bądź byłem w operze solistą, a on tylko zwykłym członkiem chóru i to też o nie najlepszej renomie. Poza tym miałem zawsze duże zdolności organizacyjne i wcale dobrze wyrobione stosunki w mieście. Wielu poważnych ludzi — lekarze, adwokaci i bogaci prywatnie pierwszy ściągał kapelusze na mój widok. Byłbym naiwny, gdybym teraz tych atutów nie rzucił na szalę. — „Kogo proponujesz na kierownika zespołu?” — spytałem patrząc obojętnie w jakiś punkt na suficie. Józio zorientował się do czego zmierzam, miał widać jednak wyrachowanie w swojej ugodowości,

żam, że na szefa to tylko ty się nadabasz bez wahania odpowiedział: „Uważaj. Ale trzeba jeszcze koniecznie dobrać ze dwóch równych facetów. Mniej niż we czwórkę nie ma co zaczynać. To przecież nie imieniny u cioci Kłoci! Skinąłem głową. Prawda. Nawet lepsza byłaby piątka. Wprawdzie mniej forsę pozostałoby na lepek, ale za to zespół prezentowałby się poważniej. W myśli przebiegłem szybko ewentualnych znanych mi kandydatów. Było ich nieoczekiwanie wielu. Po mieście pętała się cała chmara śpiewaków z bożej łaski, a i takich, którzy otarli się o konserwatorium, również nie brakowało. Chodziło tylko o to, by ten i ów, poza jako takim głosem, nie odstraszał klientów swoim zbyt wesołym wyglądem. Wskazane było także posiadanie czarnego garnituru i umiejętność współpracy z kolektywem. Niezależnie od własnych znajomości dałmy też ogłoszenie do gazety, że puszkuje się ludzi umiejących śpiewać, a chcących nieźle i go-dziwie zarobić. W głowie świtał mi plan, że jeśli nasze przedsięwzięcie się powiedzie można będzie pomyśleć o

Z przygotowanego do druku tomu opowiadań

stworzeniu dalszych ekip. W tym celu dobrze było się zorientować jakim materiałem ludzkim moglibyśmy w razie potrzeby dysponować.

Kilka dni później urządziliśmy z Józkiem coś w rodzaju wstępnych eliminacji. Okazało się, że miałem dobrego nosa — chętnych było pod dostatkiem. Przez moją małą klikę przewinęła się blisko setka kandydatów. Józio z ważną miną poddawał ton, delikatnie skupiał się w sobie i rozdzierał gardziel, a ja przez ten czas koncentrowałem się, jeśli tak rzecz można, na aktorskiej stronie zagadnienia. Sledziłem uważnie mimikę, gest i zachowanie naszych ewentualnych współpracowników. Gdy orientowałem się, że z danej maki chleba nie będzie dawałem Józiovi znak, a on przerywał przesłuchanie. Notując dla zachowania pozorów adres i przyrzekając, że w najbliższych dniach decyzja zostanie podjęta.

Wreszcie po dłuższych naradach, podczas których nie obyło się bez scysji i skakania sobie do oczu, zaangażowaliśmy zaraz trochę ludzi; kilkunastoosobowa grupa pozostawała na razie w odwodzie. Od nowych kandydatów wymagane były nie tylko kwalifikacje ściśle artystyczne, ale także urzędniczo-organizacyjne.

— Ty będziesz łącznikiem z zakładami pogrzebowymi! — oznajmiłem Januaremu Baszcie, grubemu barytonowi o wyraźnym zębie, który wstydlawie ukrywał za ciemnymi szklami. — Raczka na pulsie, dyskretny wywiadzik o stanie majątkowym nieboszczyka; czy nieodżałowany wędruje do ziemi czy do muru, jaki gatunek trumienki, czy przewidziana jest stypa i za ile. No a przede wszystkim rodzina: czy wdowa jeszcze na chodzie, jeśli tak, to forsę dla nas prawie w kieszeni. Każda młoda wdowa śmiesz grzechem, a wtedy to nie żaluje grosza na wystawny pogrzeb. Poza tym jacy szwagrowie, bracia, siostry. Kogo najlepiej zażyć z małżonki...

January Baszta, przezwany przez nas z miejsca Zezelem okazał pełne zrozumienie dla wagi swojej funkcji.

— Wszystko będzie na medal, szefie. A czy jakaś drobna zaliczka na reprezentację...?

— Forsy w firmie nie ma żadnej. Trzeba dopiero zarobić!

— Słusznie! — zgodził się Zezo. — Wobec tego musimy podłapać jakąś gotówkę na rozruch.

— Ano musimy — zgodziłem się z Zezelem. I od razu rozdzieliłmy dal-

sze funkcje. Referentem prasowym przedsiębiorstwa został subtelny blondyn o rasowej sylwetce, Artur Pokrętny, zwolniony z operowego chóru za zbyt nahałne uzewnętrznianie, a nieypowe upodobanie seksualne.

— Masz być o świcie w kiosku po gazety. Do dziewiętej, przed wyjściem do pracy, powinna być gotowa bieżąca ewidencja pogrzebów. Tylko, żebyś nie pomylił dat, godzin ani nazwisk...

— Ja, pomylić?! — Zamiast zapewnień o swojej solidności Pokrętny wyciągnął ze lśniącej, ceratowej teczki kilka brulionów z wypisanymi na grzbiecie nazwami miejskich cmentarzy. — Spójrzcie tylko: wszystko tu u mnie jak w księdze buchalteryjnej. Każda ceremonia ma swoją rubrykę, każdy dzień tygodnia podzielony na godziny. Pomyłka wykluczona! — Istotnie gęsta siatka kratek, którymi poczęte były słonice brulionu wzbudzały zaufanie do solidności Pokrętnego.

Trzeci członek naszego zespołu, bezrobotny dyrygent Roland Chaberek obdarzony został funkcją szefa finansowego. Do niego miały należeć dość skomplikowane rozliczanie prowizji z funkcjonariuszami zakładów pogrzebowych, dozorcami cmentarnymi, a także ze zwykłymi grabarzami. Nad należytych funkcjonowaniem wszystkich trybów czuwać miałem ja wraz z Józkiem, którego mianowałem swoim zastępcą. W ten sposób schemat organizacyjny przedsiębiorstwa został ustanowiony. W przededniu pierwszego występu wybrałmy się wszyscy do „Rarytasa”, gdzie schodziła się cała elita miasta, a także świat artystyczny. Każdy z nas chciał pokazać, że chociaż nie udało nam się wdrapać na szczyt Parnasu to i tak możemy sobie pozwolić na bywanie w drogim i ekskluzywnym lokalu. Zająłmy osłonięciem najlepszy stół, ten

sam, przy którym siedział przeważnie mój były dyrektor i od razu zamówiliśmy do wódki dania najdroższe i najbardziej wyszukane. Szczególnie Zezo dbał o to, by dać się poznać otoczeniu jako smakosz i koneser. Na zakąskę kazał sobie podać tuzin kanapek z kawior; wypychał je do ust tak ostentacyjnie, że i my poczuliśmy się trochę zażenowani. Zwłaszcza, że po dwóch literkach trudno było i tak utrzymać fason, a chcąc uniknąć skandalu, który groził niechybnie, gdy przyszło do płacenia rachunku, musiałem po cichu zastawić u znajomego szatniarza obrączkę Chabereka i antymagnetyczną „Doxę” Pokrętnego. Dopiero potem z dumnie podniesionymi głowami i z dobrze zabianym Zezelem, którego wzięliśmy w środek, opuściliśmy lokal.

Dokładne rozeznanie terenu dało jak najlepsze wyniki. Na centralnym cmentarzu miasta — na Padółkach zorganizowaliśmy sobie stałą i nieoczekiwanie ścisłą współpracę z ludźmi, bez których żaden pogrzeb nie mógłby w ogóle dojść do skutku. Byli to grabarze o dłoniach stwardniałych od topaty, świadomi wszystkich korzyści, które mogło im przynieść ich niewesołe rzemiosło. W malej knajpcie „Pod trupem” położonej naprzeciwko głównej bramy cmentarza omówione zostały wszystkie szczegóły dotyczące współdziałania. — Przeciętnie ile ceremonii? — pytał rozgorączkowany Chaberek, trzymając w jednej ręce noles, a w drugiej musztardówkę pełną czystoci. — Ano jak dobry dzień, to może i dojść do tuzina. A czasem to taki zastój, że tylko łbem bić o ścianę! — Kosiropaty Kolas, wodziący wśród grabarskiej braci wytarł usza wierzchem dłoni i ukonkretnił sprawę: Wspólne ryzyko, wspólny zarobek. Po pół dołu, zgoda? A my wam za to gwarantujemy: bez was ani nie ruszymy topaty. Choćby i nieboszczyk miał kruszcę do sądnego dnia — do roboty nie przystąpimy! — A jak ksiądz każe? — mruknął któryś z mrocznego kąta. — Kolas oderwał szkło od ust i patrząc przenikliwie w tamtą stronę, pokiwał tylko z ironią głową. — Ksiądz każe? Komu, nam? Pytaniu temu towarzyszyło gwałtowne uderzenie w pierś i propozycja, nie wiadomo pod czym adresem: ksiądz czy towarzysza pracy, tak gruba i wymyślna, że tylko gromki śmiech zatrząsł zbutwiałymi deskami knajpy.

Po krótkich targach przystaliśmy na te dość wygórowane warunki grabarzy i z miejsca ruszyliśmy na cmentarz.

Właśnie za pół godziny miał ruszyć spod głównej bramy kondukt. Nie było już czasu na zbyt szczegółowe wywiady. „To jakowyś znany obywateli!” — poinformował nas tylko Kolas, który też nic więcej o zmarłym nie wiedział.

Kroczyliśmy za nim i jego kompanią aż do miejsca, gdzie uszykowana była świeża mogiła. „Tylko dlaczego idzie do ziemi, a nie do muru?” — dziwił się Zezo, który na skutek zaziębienia był dziś całkiem do niczego. „Bywa tak czasem, nawet u tych z forsą. Może w rodzinnym grobowcu przepełnienie, albo nie zdążyli na czas kamienia kupić i potem będą się mruwać” — tłumaczył któryś z grabarzy, chuchając na dłonie, bo ziąb mimo kwietnia był duży.

Staliśmy na końcu bocznej alejki. Zmarli leżeli tu gęsto — krzyż przy krzyżu. Naraz od strony niedużego, okrągłego domku odezwały się dalekie pomrukiwania i odgłosy kroków. — Ruszają z kościnicy! — zasygnalizował czujnie gruby grabarz, najbliższy kumpel Kolas. Rozejrzał się dokoła i wskazał głową czarny pomnik z marmuru, na którym widniały owalne podobizny nieboszczyków. — Wleziecie za ten grobowiec. Tylko tak, żeby któremuś



teb stamtąd nie wystawał. Kapujecie? Śpiew musi być taki, jakby chóry anielskie śpiewały. A aniołów przecież nie widać, prawda wiara? — Zasmiał się chrypliwie i dodał: — Tu się płaci za to, żeby wszystko było uroczyste, żeby był efekt! — Całkiem jak w teatrze! — Mruknął mi do ucha Pokrętny.

Schowaliśmy się szybko za szeroka płytą i przyciśnięci do siebie tłumiliśmy trzęm przed tym pierwszym występiem. Ja spełniałem rolę inspicjenta. Leciutko wychyliwszy głowę poza płytę, sledziłem uważnie jak przebiega ceremonia. Było z jakiegoś pół setki ludzi o twarzach nieruchomych i przyobleczonych w smutek. Tylko kilka kobiet w lisach i gestach chylili się do jednej z kobiet i spytały ją o coś; ta kiwnęła głową i ksiądz otworzywszy brewiarz rozpoczął wymrukiwanie modłów. Pokrętny dmuchał mi w kark gorącym oddechem i cicho pojękiwał: — Nogi mi już całkiem ścierpły. Dłużej w takiej pozycji nie wytrzymam! — Nerwowo tarmosił w rękę koronkową chusteczkę, od której walił ostrzy zapach fiołków czy konwalii. Istotnie było diablo niewygodnie; chcąc osłonić głowy musieliśmy lekko przykucnąć. Do tego jeszcze Zezo bez przerwy prychnął i smarkał, co groziło w każdej chwili dekonspiracją. Na szczęście ksiądz zdawał się zbliżać z modłami do końca. Był rozlgnięty i co chwila odrywał oczy od brewiarza. Oparci o topaty Kolas i jego ludzie zaczęli coraz częściej zerkać w stronę naszego grobowca. Dałem znak Chaberkowi, żeby uważał i w chwili, gdy duszpasterz zamknął swoją książeczkę i zbliżył się do mogiły, rozpoczęliśmy śpiewy. Efekt był istotnie zaskakujący. Gromada ludzi włącznie z księdzem i kobietami w czarnych woalach wykręcały głowy na wszystkie strony. Ten i ów zerkał nawet nieśmiało w niebo i w ziemię, jakby tam szukając śpiewaków. My zaś w miarę głośno, bardzo rzewnie i bardzo nastrojowo oddawaliśmy śpiewem ostatnią przysługę zmarłemu. Gdy już przebrzmiały dźwięki „W mogile ciemnej spij na wieki” oraz kilku pieśni łacińskich, odczekaliśmy chwilę dla spotęgowania wrażenia, bacząc jednak pilnie, aby przedwcześnie nie zdradzić swojej obecności. Przez ten czas Kolas odłożywszy topatę, zbliżył się do jednej z kobiet, tej, która miała na sobie najgęstszy welon i coś jej pilnie przedkładał. Wychyliłem głowę więcej niż należało; nie umiałem powstrzymać ciekawości. Na znak dany mi przez stojącego obok grubego grabarza, szybko cofnąłem się z powrotem.

Dokończenie za tydzień

jego książka, bo autora nie znam) jest chlubnym wyjątkiem. Ceni humor jako taki — a tego właśnie humoru, bezpretensjonalnej uciechy bardzo nam brak. Już nie na co dzień, ale choćby od święta, przy niedzieli, raz w tygodniu.

Więc już zaczynam snuć marzenia. A nuż książka Janusza Przybysza uczyni wiosną w polskim piśmarstwie satyryczno-humorystycznym? Mamy przecież w tej branży co nieco niezgorszych piór (bardziej wprawdzie satyrycznych niż humorystycznych), więc może zacznie się jakiś większy ruch w interesie? Czego serdecznie życzę Wydawnictwu, Satyrykom, Czytelnikom i sobie.

• • • • •
nad i

Janusz Biniek

MIEDZY WIDZEM I EKRANEM

Film polski w oczach naszych Czytelników

Pod koniec maja br. w „Głosie Tygodnia” opublikowaliśmy opracowany wspólnie z Centralą Wynajmu Filmów konkurs - plebiscyt pt. „Wybieramy najlepsze filmy”. Był to fragment ogólnopolskiego konkursu, mającego — poprzez zasięgnięcie opinii widzów — wyłonić te tytuły spośród 121 filmów polskich wyprodukowanych do r. 1961 włącznie, które warto by wznowić w czasie dorocznego przeglądu filmów polskich we wrześniu.

Przy okazji zadaliśmy naszym Czytelnikom dodatkowe pytania, dotyczące ogólniejszych spraw, związanych z filmem. Opracowanie wyników całości, mimo że jeszcze nie ukończone, zajęło wiele czasu; toteż dopiero dziś możemy spróbować wyciągnąć z niego pewne wstępne wnioski.

Zwyciężyły najlepsze filmy

Na pierwsze pytanie plebiscytu: „Które z listy 121 filmów polskich obejrzałbyś najchętniej, Ty lub Twój najbliższy i znajomi?”, na blisko 1300 odpowiedzi, największa liczba głosów padła — co było do przewidzenia — na film Forda Krzyżacy (708). Drugie miejsce zajął film Wajdy Kanał (516), trzecie — Zakazane piosenki Buczkowskiego (453), a czwarte — Popiół i diament Wajdy (437 głosów).

A oto dalsza kolejność: Szatan z 7 klas — uzyskał 328 głosów, Awantura o Basie — 283, Matka Joanna od Aniołów — 268, Ostatni etap — 255, Ulica Graniczna — 248, Ewa chce spać — 241, Zezowate szczęście — 240, Odwiedziny prezydenta — 236, Irena do domu — 232, Piątka z ulicy Barskiej — 228, Skarb — 208 głosów. Wymienione przez naszych Czytelników tytuły niemal dokładnie pokrywają się z wynikami podobnych plebiscytów, przeprowadzonych w innych województwach, w których — w sumie — wzięło udział blisko 50 tys. uczestników.

Jednocześnie trzeba stwierdzić, że wyniki te ogólnie biorąc pokrywają się również ze zdaniem krytyki. Okazało się raz jeszcze, że widz polski jest bardziej dojrzały niż to się niektórym wydaje i bynajmniej nie stronil od filmów trudniejszych i wartościowych artystycznie. Dobrym przykładem może być „Matka Joanna od Aniołów” Kawalerowicza, która zajęła 7 miejsce, mimo że była wyświetlana tylko w większych kinach.

Trudno dziwić się także wysokiej lokacie „Szatana z 7 klasy” i „Awantury o Basie”. Tutaj zdecydował przede wszystkim brak filmów dla dzieci i młodzieży. Gdy chodzi o komedie, opinia uczestników plebiscytu, mimo wielkiego zapotrzebowania na filmy rozrywkowe, okazała się raczej surowa: wymieniono wprawdzie 3 komedie, ale na dalszych miejscach.

A jakich odpowiedzi udzielono na dalsze pytania plebiscytu?

Krótki metraż? Tak!

Dysponujemy na razie opracowaniem 300 odpowiedzi z Poznania. Spróbujmy na tej podstawie wyciągnąć ostrożnie pierwsze wnioski.

Na te 300 głosów składają się odpowiedzi: 59 pracowników fizycznych, 61 umysłowych (tzw. pracownicy biurowi), 51 — inteligencji technicznej (liczna grupa w Poznaniu), 77 — młodzieży uczącej się (w tym 26 studentów), dalej 18 odpowiedzi, przy których zawodu nie podano (przeważnie nie pracujące zawodowo kobiety) oraz 33 odpowiedzi reprezentantów innych, pozostałych zawodów.

Przed wszystkim zaskakują wyniki odpowiedzi, dotyczące polskich filmów krótkometrażowych. Aż 262 na 300 Czytelników stwierdziło, że obejrzałoby chętnie zestaw najlepszych polskich filmów krótkometrażowych, choć powszechnie panuje zdanie, że krótki metraż „nie bierze”. A więc wniosek roboczy dla organizatorów wrześniowego przeglądu nasuwa się sam: trzeba pomyśleć o zorganizowaniu w jednym z poznańskich kin specjalnego seansu, na którym wyświetlono by zestaw najlepszych (ale oczywiście najlepszych) filmów krótkometrażowych. A jest z czego wybierać. Świadczy o tym wysokie nagrody, jakie polski film dokumentalny od kilku lat zbiera na międzynarodowych festiwalach.

Na taki zestaw mogłyby się np. włączyć filmy, nagrodzone na tegorocznym festiwalu w Krakowie, uzupełnione o najwybitniejsze dzieła z lat ubiegłych. Gra naprawdę warta świeczki. Kto wie, może z czasem uda się w Poznaniu stworzyć specjalne kino krótkich form?

Czym się kierujemy?

Czym kierują się nasi Czytelnicy w wyborze filmu? Na to pytanie rzadko padała jednoznaczna odpowiedź. 175 razy wymieniono nazwiska aktorów, 153 — nazwisko reżysera. Świadczyłoby to o dużym wyrobieniu uczestników ankiety, gdyż motywy mniej istotne, jak np. fotosty filmowe — wymieniono 73 razy, a odpowiedź „jest mi to obojętne” — było tylko 27.

Miło nam, że na 300 odpowiedzi aż 168 razy wymieniono recenzję jako materiał pomocniczy przy wyborze filmu (zdanie znajomych — 42 razy). Oczywiście, trzeba do tych liczb podejść z pewną ostrożnością, gdyż jest prawdopodobne, że część uczestników ankiety (częściowo ze snobizmu, częściowo sądząc, iż w ten sposób zwiększają szansę uzyskania nagrody) nie grzeszyła zbyt dużą szczerością. Jednak proporcje odpowiedzi świadczą o tym, że nasi Czytelnicy

— jeżeli nawet nie zgadzają się ze zdaniem recenzenta — to w każdym razie interesują się tym, co prasa pisze o filmie. Argumentem mogą być odpowiedzi na ostatnie pytanie: 214 Czytelników uważa, że „Głos” drukuje za mało materiałów o filmie, a tylko 80 uznało obecny stan rzeczy za wystarczający, nie mówiąc już o tym, że nikt z 300 uczestników nie twierdził, iż piszemy na te tematy za wiele.

Najczęściej — raz w tygodniu

Jak często chodzimy do kina? Zbadanie 300 odpowiedzi dało następujące wyniki: 101 uczestników chodzi do kina przeciętnie raz w tygodniu, 82 — 2 razy w miesiącu, 48 — 1 raz w miesiącu, ta sama ilość — częściej, niż raz w tygodniu; tylko 14 osób podkreśliło odpowiedź „raz na kwartał” i 7 — „rzadziej niż raz na kwartał”. Ale w tych 14 odpowiedziach aż w 4 wypadkach Czytelnicy zaznaczyli, że mają w domu telewizor, a więc domowe kino, choć takiego pytania nie było na kuponie. Tak więc nie wydaje się, by filmy wyświetlane w telewizji stanowiły istotną konkurencję dla kin. Nie ma się co czemu dziwić: film na ekranie telewizora traci wiele na swej wartości.

Na 48 odpowiadających, którzy chodzą do kina częściej niż raz w tygodniu, przypada aż 26 głosów młodego widza, a więc przeszło 50 proc. Potwierdza to raz jeszcze niemożność zresztą fakt, że właśnie młodzież jest najgorzalszym zwolennikiem filmu.

Pod adresem twórców

Do kuponów konkursowych dołączono także wiele odpowiedzi dodatkowych, zawierających postulaty wobec polskiego filmu. Postulaty te w dużej mierze pokrywały się ze sobą. Najczęściej domagano się więcej filmów rozrywkowych (komedii, filmów sensacyjnych, kryminalnych i przygodowych), choć zarazem nie brakło głosów, krytykujących polską komedię filmową. Czytelnicy nasi oglądaliby także chętnie polskie filmy historyczne, szczególnie adaptacje klasyków naszej literatury, np. „Lalki” Prusa czy powieści Sienkiewicza. Stwierdzano, że za mało kręcimy filmów dla dzieci i młodzieży (liczne głosy rodziców) oraz filmów wojennych. Jednocześnie były głosy świadczące o tym, iż tematyki wojennej jest na naszych ekranach za wiele, ale — rzecz charakterystyczna! — autorami tych wypowiedzi byli wyłącznie przedstawiciele starszego, wzgl. dorosłego pokolenia.

Jak już zaznaczyliśmy, przytoczone wy niki (oprócz wyboru tytułów na wrześniowy przegląd) obejmują jedynie wy cinek — niecałą 1/4 wszystkich odpowiedzi na nasz plebiscyt. Dokładniejszy obraz może dać zbadanie pozostałych. Jednak nie należy raczej spodziewać się, by, szczególnie gdy chodzi o Poznań, opracowanie całości miało wnieść zasadnicze zmiany. Do tej sprawy powrócimy zresztą przy najbliższej okazji.

Eugeniusz Pauksza

Poznań i Wybrzeże

Zagadnieniami Pomorza Zachodniego wiąże się nowy tom „Biblioteki Słupskiej” przygotowany przez Wydawnictwo Poznańskie, mieszczący prace Franciszka Mamuszki i Jerzego Stankiewicza. Pierwszy w zwartym zarysie daje zarys dziejów sztuki powiatu słupskiego, drugi publikuje wykaz zabytków tego terenu. Przejrzystość opracowań, obfita dokumentacja, słowniczek terminologiczny stawiają „Zabytki powiatu słupskiego” w rzędzie pozycji bardzo potrzebnych i wartościowych.

Niewątpliwą rewelacją wydawniczą stanie się dalsza pozycja poznańskiej oficyny, mianowicie wyczerpujące studium Janusza Sobczaka „Przesiedleńcy w Niemieckiej Republice Federalnej” obiektywnie, beznamytnie referująca zagadnienie, zarówno poprzez trafne ukazanie jego genezy w migracjach niemieckich w ciągu tysiąclecia i narastające zjawisko demograficznego odpływu Niemczyzny na wschód, jak przez obraz ewakuacji i ucieczki niemieckiej ze wschodu w okresie wojny oraz przesiedlenie po jej zakończeniu. Niejako drugą część tomu stanowi analiza sytuacji początkowej wysiedleńców, omówienie zagadnienia integracji ich w organizmie Bundesrepublik, wreszcie dane co do ilości tej grupy ludności, warunków jej adaptacji, jak i charakterystyka organizacji przesiedleńczych, łącznie z przeglądem organizacji ziomkowskich. Autor kończy uzasadnionym wnioskiem, że integracja przesiedleńców w NRF dokonała się już w pełni, tym niebezpieczniejsze są zatem poczynania rewizjonistyczne organizacji ziomkowskich i trzeba mieć je stale w bacznej uwadze.

Nareszcie poznajemy z tekstu pisarza znanego dosyć powszechnie z nazwiska, Artura Lundkvista, laureata Nagrody Leninowskiej i tak zwanej Małej Nagrody Nobla. Przełożona przez Irenę Wysomirską powieść „Darunga”, ukazuje poprzez wizyjny obraz rewolucji w fikcyjnej republice południowo-amerykańskiej zarówno wszystkie zalety urzekającego języka, jak i postawę ideową wybitnego pisarza. Książka nie tylko wciąga, ale poprzez swą poetycką aurę i zaangażowany stosunek autora do życia wywiera nieodpartą wrażenie.

Sporo ciekawych nowości przynosi ostatnio Wydawnictwo Morskie. Zalecałbym wszystkim co nieco waleśającym się po kraju

zakupić świetny „Bedeker kaszubski” opracowany przez Różę Ostrowską i Izabellę Trojanowską, oryginalny, błyskotliwy w ujęciu, pełen dobrego (przeważnie) dowcipu, a przy tym napęczniały sumą wiedzy o Kaszubszczyźnie. Jedną pretensją do Wydawnictwa; dlaczego zabrakło w książce skorowidzu, naprawdę nieodczuwano?

Dobrym pomysłem jest opublikowanie „Almanachu poetów pomorskich”, w wyborze, układzie i ze słowem wstępnym Jerzego Kwiatkowskiego. Mamy tutaj pełną reprezentację poetów Szczecina i Trójmiasta, w starannym, choć może miejscami zbyt szorstkim, a przez to nie dość surowym wyborze. W każdym razie tom ukazuje rozmach, skalę wrażliwości i tendencje rozwoju środowiska poetyckiego Wybrzeża, ukazuje w

sposób szeroki i interesujący.

Entuzjaści pisarstwa Augustyna Necla, a ma on takich, mile przywitają jego „Złote klucze”, tom, będący swobodną jakby kontynuacją „Krwawego sztormu” tegoż autora. Najazd szwedzki za Jana Kazimierza stwarza możliwość ukazania Ziemi Kaszubskiej, czego symbolem są nieskalane szwedzkiem dotknięciem złote klucze do bram Pucka. Niestychanie mile usposabia do Necla jego zarliwie ukochanie swojej krainy, co zresztą nie przeszkadza mu widzieć w jej losach nie tylko jasne, ale i ciemne strony.

Spod pióra Stanisława Mioduszewskiego, wytrawnego marynarza, równie uprawnie zresztą władającego piórem, wyszedł reportaż podróżniczy „100° długości wschodniej”, barwna relacja z długiej podróży różnymi statkami i po różnych światach. Autora poza egzotyką dalekich łądów interesuje zwłaszcza proces wyzwalań się ludów kolonialnych. Zagadnienie to umie pokazać frapująco i bardzo rzetelnie. Ciekawa lektura i można podzielać entuzjazm autora, gdy pisze, że „wędrówka po świecie, to coś, dla czego, u licha, warto żyć”.

W Wydawnictwie Morskim ukaże się też wznowienie ciekawej swym tematem, ale nazbyt patetycznej, podobnie jak sam tytuł, powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat: „Pozwólcie nam krzyżować”. Jednego można na pewno się uczyć od autorki: znajomości życia. Stąd też może powodzenie tej i innych jej powieści u czytelników.



Koniec wielkiej improvizacji

Tak zatytułowała Nowa Kultura relację z rozmowy przeprowadzonej z irzema uczestnikami konferencji ekonomicznej krajów RWPG: prof. dr. Tadeuszem Kolarbińskim, wiceprezesem Rady Ministrów Eugeniuszem Szyrem oraz dyrektorem Instytutu Ekonomiki i Organizacji Przemysłu Ilją Epsztajem. Przypominamy, że wspomniana konferencja odbyła się 9—14 lipca i poświęcona była roli, zadaniom, znaczeniu ekonomiki i organizacji produkcji i pracy w rozwoju gospodarki narodowej krajów obozu socjalizmu. Oto co mówi między innymi Eugeniusz Szyr: „Odrzucenie dogmatyzmu usunęło tamy i zapory powstrzymujące napór świeżej, twórczej myśli ekonomicznej, zagradzające drogę twórczej interpretacji i uogólnieniom nie poszczególnych definicji i cytatów, lecz rzeczywistych zjawisk i bogatego doświadczenia praktycznego. Jednym z objawów dogmatyzmu było lekceważenie tzw. stosowanych nauk ekonomicznych. Zagadnienia planowania, polityki cen, inwestycji, proporcji produkcji i podziału itp. określano jako domene praktycznego działania, jako elementy i składniki tzw. polityki gospodarczej. Stalin w „Ekonomicznych problemach socjalizmu” mocno podkreślał znaczenie ekonomii politycznej socjalizmu jako JEDYNEJ podstawy polityki gospodarczej. Tymczasem właśnie dla potrzeb polityki gospodarczej niezbędny jest szeroki rozwój odrębnych nauk ekonomicznych i powstawanie nowych nie znanych dawniej dziedzin pracy badawczej...”

Na łamach Głosu już kilkakrotnie pisaliśmy o znaczeniu współpracy krajów RWPG. Ostatnia

konferencja warszawska odegrała na pewno dużą rolę w cementowaniu gospodarczej jedności państw naszego obozu.

Pamiętnik z Powstania Warszawskiego

Polityka publikuje fragmenty pamiętnika z Powstania Warszawskiego. Autorka, 14-letnia dziewczynka tak pisze:

„Proszę, aby pamiętnik ten, w razie mojej śmierci, doręczył Hani Dobrowolskiej...”

W komentarzu redakcyjnym Marii Rutkiewicz czytamy: „Na całym świecie dziewczęta piszą dzienniki. Myśle: Tylko czas niedłuzki wydał młodą ręką pisaną pamiętniki, które niosą najokrutniejszą wiedzę ludzką o męce, śmierci i nadziei.”

Oto fragment pamiętnika z datą 2 sierpnia 1944 roku:

„Stoję na balkonie i widzę leci ktoś, jakaś kobieta. Niesie kilka koszyków ciastek i bułek. Druga niesie kawę gorącą. To dla żołnierzy. Oni widzą że już z daleka, zaczynają klaskać. W tej chwili żołnierz złapał ją w pól i z wielką radością zakreślił. Och, jaki to był miły obrazek.”

Teraz znów żołnierz wchodzi na barykadę i krzyczy na całą ulicę. „Plac Napoleona opanowany przez naszych”. Sztandar Polski wisi na najwyższym budynku Warszawy...

W następnym numerze Polityki zapowiada dalszy ciąg dziennika 14-letniej dziewczynki, która miała przed sobą tylko 2 miesiące życia, a za sobą 9 lat normalnego dzieciństwa i 5 lat wojny.

Wyznanie Leszka Drogozsa

W tymże numerze Polityki (28. VII. br.) znajduje się wypowiedź Leszka Drogozsa, spisana przez Andrzeja K. Wróblewskiego p. Pod prąd. Rzadko w naszej prasie ma się okazję przeczytać tak interesujące zwierzenia sportowca, który przez długi czas był gwiazdą naszego boksu.

„Przestałem być swoją własnością — mówi Drogoz — Żyje się właściwie od startu do startu, w

ciągłym napięciu nerwowym, potęgowanym jeszcze przez kierowników: świat na ciebie patrzy! Dzwie się, że rozdwojenie jaźni nie jest zawodową chorobą kadry narodowej, przecież nie można żyć wciąż na takim świeczniku (...) Wezwano mnie (w roku 1956 — dop. L.) na mistrzostwa Polski, a dyrektor szkoły zabronił mi jechać, zresztą sam nie chciałem. Cała Polska zatrzymała się od oburzenia, przede wszystkim oczywiście działacze, którzy czasem napominają: „ucz się”, ale jak przyjdzie co do czego, zawsze obóz czy zgromadzenie okazuje się ważniejsze (...) Zrobiono w GKKF w Alei Róż w Warszawie wielki sąd nade mną, co może powinno mi schlebiać, ale wtedy tylko mnie wściekało. „Odmówił udziału w mistrzostwach Polski!” (...) Ani im przez myśl nie przeszło wysłuchać dyrektora szkoły, który przyjechał ze mną specjalnie po to, żeby krzyknąć: panowie, to ja mu zabroniłem, to ja odpowiadam nie on! (...) Ukarano mnie 3-miesięczną dyskwalifikacją...”

Pasjonująca spowiedź, odstawiająca kulisy życia sławnego sportowca, ulubieńca publiczności, mimo wszystko skłania czytelnika do nie zawsze wesołych refleksji.

Agronomówki — agronomowie

W Życiu Gospodarczym znajdujemy ciekawy artykuł Jana Stelmacha p. Agronomówki — agronomowie. Bardzo aktualny temat. Przecież decyzja o budowie agronomówek była dla rolnictwa poważnym wydarzeniem. Wiązano i wiąże się z nim nadal duże nadzieje na podniesienie kultury rolnej, a tym samym — na zwiększenie produkcji. Autor pisze w artykule o lokalizacji i wyposażeniu agronomówek oraz o pracy agronomów:

„Sprawa pracowni agronoma, czy jak chcą niektórzy jego „laboratorium”: trudno mówić obecnie o laboratorium a nawet o przyzwolonej pracowni. Pokój wprawdzie jest, ale do pokoju nie nie dano. Agronom, zależnie od własnej zapobiegliwości, postarał się o jakiś skromny stół i parę krzesel (...) Zadnych pomocy do pracy poza rozwieszonymi na ścianach plakatami. Spotkałem tylko jednego agronoma, który miał już szafę, trochę książek, nie-

które modele, preparaty itp.; wszystko zdobyte własną zapobiegliwością...”

Trudno odmówić racji. Może w naszym województwie nie jest najgorzej, ale pożyteczna w swych założeniach akcja na pewno przyniosłaby dużo lepsze rezultaty, gdyby wszystkie agronomówki zaopatrzyć tak jak zamierzano. W Polsce w ubiegłym tylko roku wybudowano 846 agronomówek. Wiele z nich zrobiono — bądźmy szczerzy — po parłacku. Wykonawcom można często niejedno zarzucić.

Polak model 1962

Z prawdziwym zainteresowaniem czytaliśmy artykuł Krzysztofa T. Toeplitza p. Sztanca, opublikowany w najświeższym Przeglądzie Kulturalnym. Autor opisuje — jak sam się wyraża — fason intelektualno-moralny na sezon bieżący:

„A więc jak wygląda Polak AD 1962, którego oglądać możemy na przykład na ekranie telewizora? Powiedzmy na początek, że jest to przeważnie człowiek młody lub co najmniej w sile wieku (...) Ow bystry młody człowiek zajmuje się wszystkim. A więc może on prowadzić program Zgaduj — Zgaduli lub teleturnieju na temat zarówno jazzu, jak i poezji romantycznej lub kosmonautyki, może czytać i komentować wiadomości polityczne i sportowe, demonstrować archiwalne filmy lub prowadzić rewie piosenek albo rozmowę z klasykiem literatury obcej, bawiącym przejazdem w Warszawie (...) Ubrany jest zazwyczaj nienagannie, nosi ciemny garnitur i białą koszulę z włoskim kolnierzykiem, czasem muszkę. Jest świetnie i krótko ostrzyżony i stanowi modne skrzyżowanie młodego intelektualisty z dobrze się mającym człowiekiem interesu i miglancem.”

Oczywiście, artykuł ten słoł na pograniczu satyry i choć trzeba go czytać z lekkim zmrużeniem oka, dużo tu prawdy. O tym jak owa sztanca modelu 1962 odbija się na normach życia zbiorowego, zamierza autor napisać w następnym felietonie. To może być ciekawe.

LEKTOR